

**WŁADYSŁAW
STANISŁAW
REYMONT**

TOMEK BARAN

Władysław Stanisław Reymont

Tomek Baran

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843582

Tomek Baran:

Аннотация

Jedno z wielu opowiadań Władysława Stanisława Reymonta (1867–1925), pisarza o ogromnym dorobku nowelistycznym. Główny bohater, Tomek Baran, traci pracę i od tego momentu poznajemy dramat jego życia. Bieda, beznadzieja, choroba, śmierć i tragiczna dola najbliższych są przyczyną moralnego upadku bohatera. Brak wiary w możliwość zmiany swojego losu i stagnacja, trwanie w nędzy i rozpacz to obraz charakterystyczny dla treści tych krótkich utworów Reymonta, które wpisują się w nurt naturalistyczny. Towarzysząca tym motywom prezentacja stosunków międzyludzkich, obnażenie izolacji społecznej postaci wzmagają wstrząsający odbiór noweli.

Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

18

Władysław Stanisław Reymont

Tomek Baran

Tomek otworzył drzwi do karczmy, para buchnęła z izby, niby z obory, i zaduch prawie lepki od gęstości go owiał; ale Tomek nie zważał na to, tylko wszedł i poprzez naród, splątany gęsto, niby żyto na boisku, przepychał się do drewnianych krat, za którymi stał szynkwas.

- Dać półkwaterek, ino krzepki.
- W blaszkę nalać?
- Nie, w szkło.

Odmierzyła mu karczmarka. Zapłacił, wziął buteleczkę, kieliszek i poszedł na drugą stronę izby, do drugiego stołu, usiadł pod ścianą, wódki w kieliszek nalał i wypił. Strzyknął śliną przez zęby, obtarł usta rękawem i zamyślił się. Żarło go coś we środku, bo nie mógł usiedzieć spokojnie, splotwał, bił pięścią w stół, to unosił się, chcąc biedz, ale opadał na ławę z cichym jękiem i rozcierał oczy kułakiem, bo mu coraz to łza spływała na suche, sinawe i przegryzione policzki, a piekła go, jak ogień. Prawie nie wiedział, co się wokoło niego dzieje. Jakies ciężkie strapienie leżało muna sercu kamieniem, bo widać było, że rady sobie dać nie mógł, i że z coraz większą bezradnością opuszczał ramiona, i że coraz częściej wzdychał i drapał się po głowie.

A karczma aż się trzęsła od hołupców. Ze dwadzieścia par, zwartych ze sobą szczelnie na niewielkiej przestrzeni, krążyło w

kółko z przytupywaniem i pokrzykiwaniem.

– Hop! hop! hop! – leciał głośny pokrzyk.

Wódka i upojenie tańcem dymiły ze łbów, a podniecenie dzikie tak podrywało tańczących, że coraz zacieklej przytupywali i coraz szybciej się okręcali w kole.

Czerwone wełniaki kobiet pstrzyły się między białymi sukmanami, niby maki w polu dostałego żyta. Kończący się dzień rzucał przez małe, zamarznięte szybki karczmy smugi rudawego światła, a mały kaganek, świecący nad okapem, chybotał się ciągle i podrygiwał, jakby w takt hołupców.

Wrzawa głucha podnosiła się, niby szum splątany i niewyraźny, z którego tylko wylatywały, jak błyskawice, jędrne: Hop! hop! hop! – i znów na chwilę tonało wszystko w zgiełku ogromnym; bo przy stołach, po kątach, przy szynkwasiu – gdzie tylko miejsce było, wszędzie stali ludzie i raili: o łońskich kartoflach, o księdzu proboszczu, o dzieciaskach, o dobytku, o wszystkim, co im leżało na „wątpiach” i z czego w kompanii zawsze łatwiej się wygadać i łatwiej mieć pożalenie; bo nawet, na ten przykład, jako i bydlę i ze źródła wody samo się nie napije, a w kompanii pije i ze „chrapu”, tak i człowiekowi samemu nie żyć, w karczmie się nie weselić, do lasu nie jeździć, ino, jak Pan Bóg przykazał, zawsze z drugimi, – z bratami.

Wszyscy razem mówią, przepijają do siebie, ściskają się z serdecznością i „kuntentność” rozpromienia wszystkie oczy, i coraz głośniej krzyczy: Hop! hop! hop!

Dyle podłogi pod ciężkimi przycinaniami obcasów

skrzypiały coraz ciężej – a basy, umieszczone wysoko, na kłodzie z kapustą, śpiewały coraz grubiej:

– Bom, cyk, cyk! Bom, cyk, cyk!

A na to im odpowiadały lipowe skrzypeczki:

– Tuli, tuli, tuli, tuli, tulity, tulity!

I ochota była siarczysta i niepowstrzymana. Twarze były przy twarzach, piersi przy piersiach, plecy przy plecach – a wszystko tak nawskróś przeniknięte rytmami skocznej muzyki – że oberek szedł taki wściekły, zamaszysty, chłopski, aż sęki wylatywały z podłogi, szybki jęczały żałośnie, a grube, pękate kieliszki na szynkwasię, aż dziw, jak podskakiwały z uciechy.

Od czasu do czasu karczmarz brał bęben z brzękadłami, potrzasał nim mocno, niby chłop Żyda za łeb, uderzał pięścią w skórę do taktu skrzypkowi.

– Dyy, dyz, dyz! – brzmiało wtedy zgiełkliwe, zagmatwane i ogłuszające brzękiem – i tupot był zaraz siarczystszy i pokrzyki więcej schrypnięte, a kaganek aż przykucał i kopcił sadzą, na powiewające, niby płaszcze, kapoty. Para z topniejącego na butach i przy drzwiach śniegu, dymz papierosów i mrok, jaki panował w ogromnej izbie, przysłaniały tańczących, że zaledwie tylko migotały czerwone twarze i niewyraźne zarysy ciał i barwy jaskrawe, w tym zapamiętałe się kręcącym wirze ludzkim.

– Kto mi będzie usługiwał, usługiwał, cha... cha... cha... i... i... i... – chichotały wesoło skrzypeczki.

– Oto ja, tylko ja... a... a... a... – odpowiadały z jakimś podrygiwaniem basy i zaraz do spółki zaczęły śmiać się

i baraszkować i przenikać wszystkich śmiechem wesela, aż karczma zdawała się trząść od przyływu pijackiej wesołości.

Jedna baba oszalała,
A druga się wściekła,
Trzecią dyabeł okulbaczył
I pojón do piekła.

Zaśpiewał ktoś jak na pobudkę, bo zaraz zaczęły się zrywać coraz inne zwrotki i bić wesołością coraz większą.

Tomek tylko wciąż siedział zadumany: nalał drugi kieliszek, ale mu go wyrócił jakiś rozhulany tanecznik, więc kopnął ze złości jego tancerkę i wstał, bo i zimno mu było od okna i markotno siedzieć samemu, poszedł za szynkwasa do alkierza.

Narodu i tam było pełno, buteleczki ściskali w garściach, całowali się, gadali i przepijali do siebie, baby wstydliwie przysłaniały się zapaskami i cmoktały okowitę z rozkoszą. Poczęstunek szedł rzetelny – katolicki: stać było kogo na arak – stawiał, abo na spirytus z asencyą – stawiał, abo na okowitę samą – stawiał, abo tylko na piwo – stawiał.

Stawiał z dobrego serca i z ochoty.

Wszyscy byli już pijani, ale nic to: raz kozie śmierć, gorzalina nie piekło, a biednemu kiej-niekiej trzeba pocieszenia duszy grzesznej, i choć kapkę na frasunek.

– O psie jeden – bełkotał pijany chłop do komina – takiśto

kum! czekaj!... A ja go tak, a un me tak, a ja go za orzydle¹,
a un me w pysk!.. Takiśto kum, o psie jeden, taki krześcijan!
... a un me w gembe!... Bartek zmógł siła, to i ciebie zmoże...
zmoże... psia... zmoże... A ja go tak, a un me tak, a ja mu
pedom grzecnie: bracie!... a un me w pysk, a ja mu pedom.
kumotrze!... a un me w pysk! a ja mu potem: takiśta kum, taki
krześcijan... – mruczał coraz niewyraźniej i bił pięścią w komin,
aż się echo rozlegało, i zataczał się coraz senniej.

Ja za wodą, ty za wodą.
Jakże ja ci buzi podom?
Podom ja ci na listecku,
A naści-że, kochanecku

zaśpiewała Karlina, ta, co to w kopania męża pochowała i
sierociła teraz sama jedna na półwłóce pszennej ziemi z koniem,
z krowami i z niezgorszemi jeszcze szmatami po nieboszczyku.
Rzuciła się do młodego chłopaka, stojącego pod ścianą, i znowu
mu zaśpiewała:

Wojtecku, Wojtecku,
Nie siedź na przypiecku —
Ino chodź do wdowy,
Bo ma chleb gotowy.

– Wojtek, w twoje ręce, parobku kochany. Głupiś, będziesz

¹ orzydle – ubranie na piersiach. [przypis autorski]

się ta ojców bojał. Jakem rzekła: grunt ci zapiszę, to zapiszę, bo to nie mój, co?

Będziesz miał, kiej w rajcu – moje ty kochanie,
Zjesz syrek na wieczór – kurę na śniadanie.

– Ojcu duchownemu się pokłoń i na zapowiedzie daj, wieprzaka się uszlachtuje, kołaczów upiecze, araku kupi i weselisko się wyprawi, że aż ha!

– Oj, stara a głupia! Zębów nima, a gryzłaby! – odezwał się ktoś z boku.

– Hale! gdzieś se wraź ślipie, a nie komu w zęby. Widzicie go, „deputnik” pieski! – rzuciła się Karlina gwałtownie.

– Cichoja, kumo, ja wam coś rzeknę.

– Psu se rzeknij. W palto się ustroiła pokraka i myśli, że »sielny« pan – a choć ty po wsi szczekasz, jak ten pies, ja ci i tak gorzałki w gardziel nie wleję.

Zwróciła się do Wojtka, odciągnęła go w kąt i namawiała go sobie dalej, a obok przy stoliku siedziało dwóch chłopów i popijało z pękatej butelki. Jeden drapał się po głowie i milczał, a drugi gestykułował szeroko i gadał:

– Miarkujcie tylko, że Czerwiński to wam rzekł: termedye różne szły na mnie, jak baby nażydowskiego konia, a ja nic! Kobita mi się przy dziecku zmarnowała – nic! konie mi ukradli – nic, ino czekam, Jędrak mi zachorował na ospę – o psiachmać! Jak nie wypiję okowitki z tłustością, jak nie zaniesę

dobrodziejowi na mszę świętą – i – jak ręką odjął! Grzela, rób tak samo, a zobaczysz, że ci pomoże. Czerwiński ci to mówi, to Czerwińskiemu wierz.

– Dziecisków, jak pliszek na podorówce, kobieta na świeże chora, podatek trzeba płacić, kartofle mi zmarzły, bieda aż piszczy – a tu na wszystko – patyk złamany. Laboga, laboga! Pijcie-no do mnie! Widzi mi się, że nie poradzę, na rozum bierę i z tej i z tamtej strony i nic wykalkulować nie mogę.

– Głupiś, w twoje ręce, Grzela; już ty lepiej w pysk od dozorca bierz, a na rozum nie bierz, bo nie poradzisz, a pięścią kiedy niekiedy weźmiesz, ale i robotę miał będziesz na plancie i świeży grosz. Miarkuj se ino – Czerwiński ci to mówi! a Czerwińskiemu wierz, bo jako dobrodziej powiedzieli, co w parafii on jest jedna głowa, a Czerwiński druga! Niech mu Bóg da zdrowie, mądry on szlachcic i uczony. W twoje ręce, Grzela.

– Pani Jackowa, moja pani Jackowa: flaszeczkę esencji, kwaterkę spirytusu, dwa rządki bułek i kiełbasy font! – wołano od stolika pod oknem, przy którym siedziało czworo ludzi: dwoje ubranych z miejska i dwoje po chłopsku.

– Pani Jackowa, moja pani Jackowa, a octu do kiełbasy, a talerza dla pana Strzelca! Widz pan Strzelec, ja powiem, jak to było...

– Cicho, stary, ja dokumentniej opowiem, bo ty nie pamiętasz – przerwała mu żona. – Ide se duchem²na ten przykład, ide...

– Stul gembę, zaraz będzie tu ozorem mleć po próżnicy. Ja

² *ducht, dukt* – droga leśna. [przypis autorski]

powiem. Pańskie zdrowie.

– Pijcie z Bogiem.

– Słodka i mocna, panie Strzelec, jeszcze jednego!

– Wasze zdrowie, Andrzej!

– Pani Jackowa, jeszcze tego samego.

– Bóg zapłać, Andrzej, ale ja już nie mogę.

– Mój najukochańszy panie, jeszcze kieliszek, tylko ździebko, choć łycka, o... Zaraz powiem, jak to było. Żona mówi: ide se duchtem, niby przez działkę pana Strzelca, powiada, leży coś: zajac, czy nie zajac – nie; nima ogona, powiada, nie cielak, a i nie świnia, bo nie kwiczy. Baba stanęła, ba, aże ścierpła ode strachu, że tylko odmawia »Pod Twoją obronę«; a ten zwierz leży furt i rozdziawia gembę, powiada, a kły miało, jak palec – a że babski naród, zły naród i zapamiętały, czy to w złości, czy w dobroci – to jak nie zdejmie trepiska z nogi i jak nie chłaśnie tego zwierza w łeb, i jak nie weźmie uciekać z płaczem do domu – powiada. Przyleciała do chałupy i powiada: Stary! – A co? – odrzeknę. – Zabiłam jakiegoś zwierza na duchcie – powiada. Nie odrzekne nic, bo myślałem, że ją tak z chodu zamroczyło i plecie trzy po trzy, zwyczajnie, jak baba. A ta wciąż swoje: – Zabiłam zwierza, czycosik na duchcie. Grdyknąłem ją ano przez plecy, bo co tu będzie pleść, a ta znowu swoje: – Zabiłam zwierza na duchcie, laboga! Z babą nie poradzę, myślę sobie, a może i człowieka zabiła albo co. Założyłem siwkę i pojechałem zobaczyć, jako mnie wtedy w lesie i spotkał pan Strzelec.

– Andrzej, nie cygańcie! Złapałem was, jak kładliście sarnę

na wóz.

– Jeszcze kropelczkę gorzałki, panie Strzelec, – na drogę. Ja prawdę rzekłem, jak na spowiedzi, przed dobrodziejem. Pan Strzelec jest mi więcej, niż ojciec, niż brat, bo mój dobrodziej kochany. Wiem, że jak pan Strzelec chciał będzie, to ja w sądzie sprawę przegram, bo już na świecie takie urządzenie jest, że zawsze szlachcic górą, a ty, chłopie, cierp, rób i płac! Wiem, że pan Strzelec człowiek rzetelny, zgodny i sprawiedliwy, to krzywdy mi nie robi, a że pana kocham, niby rodzonego – świniaka jutro żona zaprowadzi, po przyjacielsku, i zgoda będzie. Co tam sądom dawać zarobek! Pani Jackowa, jeszcze tego samego.

– Dołożę jeszcze kaczuszków i miodu plasterek, bo wiem, co pani Strzelcowa jest pani szlachetna i delikatna, w szkołach była edukowana, jako i pan Strzelec, a nie takie chłopcy-chamy, jak my, na ten przykład, – dodała chytrze kobieta, chyląc się do kolan Strzelcovej, ta zaś ją ujęła za szyję i z rozrzewnieniem zaczęły się całować.

– Już ja mam takie miękkie serce, że nie tylko wam sarnę daruję, Andrzej, ale jakby wam potrzeba było sosenki jakiejś, albo i dąbka młodego – to odmówićbym serca nie miał.

– Pańskie zdrowie, duszo miłosierna i krześcijańska.

Zaczęli przepijać do siebie często, całować się serdecznie i szeptać po cichu, że od drugiego stołu znów słychać było chłopów:

– O juchtra! Zmarnował się człowiek. Wyście z nim razem

mieszkali?

– Tylko przez miedzę. Patrzyłem się na wszystko, to juści, że człowieka markotność rozbiera, niby choroba.

– Czerwiński wam powie tak: mógł jeszcze żyć, „co go wypominam podczas wieczoru, ale w dobry sposób”, – mógł.

– Halo! Na wielki dwór wcale już nie chodził, tylko mu ciągle odmiatało; postękiwał, postękiwał, aż i zmarł chudziaszek.

– Doktor pono u nich był?

– I... doctory. Jak kto ma zamrzeć, to choćbyś mu gruntu hubę dał i dobra wszelkiego po grdykę – nie ożyje.

– Prawda! w twoje ręce, Grzela!

– Pijcie na zdrowie. A kto był winien temu? Po prawdzie i sprawiedliwości, że tylko świnia i baba, nie kto drugi. Maciorę miał utuczoną, niby kłoda; prowadził ją na sprzedanie, bo grosza było potrzeba. Poszedł z oną świnią; śniegi zwały się po pas, nautykał się, namarnował, zwyczajnie, jak przy handlu. Potem kielbasy zjadł, zastygła w nim i zmizerował się. Żeby był gorzałką zapił, nicby mu, jako Bóg na niebie, nie było, ale nie pił i półkwatka.

– Bał się nieborak piekła w chałupie.

– Ho, ho! Babę miał marną, ale imistą w garści; prała-ć go nieraz, prała!

– Wasze, kumie.

– Niech będzie na zdrowie. Czerwiński wam tak powie: żeby był „psiąkrótkę” prał, ażby jej pomroka na oczy wlaźła, to miałby żonkę grzeczną, że ha!

– Prawdę mówicie, sołtysie, prawdę. W garści miękki był, pomyślunku chłopskiego nie miał, i teraz ziemię gryzie – a wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie.

– Na wieki wieków, amen. W twoje ręce, Grzela.

– Takiście to mąż? – kobieta tam ledwie żyje, a wy tu pijecie sobie, pogany! – krzyczała jakaś baba, przepychając się do nich.

– Co mi tam!... dziecisków, niby śmiecia a tu nowe...

– Grzela, nie obrażaj Pana Boga, bo ci jeszcze je pobierze...

– Napijcie się, kumo, kapkę i zaraz pódziemy...

– A jak to mnie Jezusiczek – zaczęła kobieta – nie pocieszył na starość dziecięcym, do Częstochowym chodziła i u różnych doktorów się likowałam i nic – sama zostałam na świecie, jako ten grzeszny palec... sama.

– Ale, miej baba dziecko, jak ci sto lat minie.

– Nie gadałybyś, Czerwiński, nie byłam to młoda, co?

– Pan Bóg wstąpił w niebo, dyabeł w babę, a kwas w piwo – tylko, że niewiadomo kiedy! – miarkuj se to, niewiasto, bo ci tak Czerwiński rzekł.

W kącie na skrzynce siedział młody chłopak, organistów miejscowych syn, a przed nim stała bardzo stara kobieta i szeptała przyciszonym, dźwięcznym głosem:

– Siedemdziesiąt sześć roków żyje, paniczku – tom widziała i białe, i czarne, i różne. Sługiwałam i u takich państwa, co tylko w ogiery jeździły, na srybrnych miseczkach jedli i po zagranicznemu gadali – a gdzie są oni teraz! gdzie? I na książce umię, i gospodynią pierwszą na całą wieś byłam, i dzieci miałam,

i dobra wszystkiego dotąd... o... i wszystko gdzieś przeszło, skapiąco, jak to słońce letnie, co go nam Pan Jezus daje grzesznym na pocieszenie. Wiem ja wszystko, paniczku, wiem, czy to pańskie życie, czy to chłopskie życie – to zawsze nic innego, tylko ostatnia mizeracja jest. Ja prosta baba jestem, siedmdziesiąt i sześć lat mam – to sobie już wszystko wymiarkowałam. Paniczku! sześć tysięcy lat świat se stoi?

– Prawie sześć tysięcy lat.

– A widzi paniczek, że ja wszystko wiem, a według tego tak myślę: że tyle tysiączków świat stał sobie beze mnie i dobrze było, to przez co ja tyle lat przecierpiałam!? Co tu po mnie było?

– Ano trudno, Pan Bóg życie dał... to...

– Paniczku, przerwała mu szybko stara – ja prosta baba jestem, a paniczek uczony, bo na organach grać gra, po łacińsku z ojcem duchownym paniczek śpiewa i wie, kiedy wyciągnąć nutę cieniutką, a kiedy grubą – ale powiem: może ja grzeszne mam myśli, – ale powiem: to pewnikiem dyabeł wypuszcza sobie duszyczki na świat, żeby cierpiały, żeby się tłukły w ostatniej mizeracji przez tyle lat, co ja. To nie Pan Bóg, choć w ksiązkach stoi i księżde mówią: nie. Coby ta Jezusickowi przyszło z tego, że tyle narodu się nacierpi, nabieduje, namarnieje... Pan Bóg jest dobry pan i sprawiedliwy... Nie słodkie jest życie, nie aksamitne – tylko drze niby zgrzebło, aże się człowiek krwią serdeczną oblewa.

– Co wy też, Jagustynko, wygadujecie, przecież to grzech...

– Tylko krzywdę drugiemu człowiekowi robić jest grzech, a jabym psa nie zgła kijaszkiem, bo żyw i takóž cierpi przez to. Paniczku, prosta baba jestem, ale serce mam, jak ten węgielek, przez ogień spieczone, przez gorzkość, com ją piła całe życie i za siebie i za drugich, i wiem, że dyabeł dał życie, aby się ludziska po wiek wieków marnowali po świecie, przez złość do Pana Boga, ale Jezusiczek najukochańszy zlitował się nad nami, przeparł złego i po trochu wybiera se ludzi do swojej chwały – i wybierze kiedyś wszystkich. Ja tylko czekam, aż kostucha przyjdzie i rzeknie: Pódzi!... czekam i pacierz oto mówię, niechby najprędzej oczy przywrzeć, nie mieć już nijakiej turbacyi, ni biedy – i odpocząć sobie rzetelnie, odpocząć, paniczku...

Wyprostowała się nad drzemiącym organiściakiem i suchą, przeradloną troskami i starością twarz zwiesiła, a w wybladłych, przepalonych łzami oczach błysnęły jakieś łzy... obtarła je szybko za paską, westchnęła cicho i zwróciła się do Tomka, siedzącego samotnie na skrzynce, z flaszką w garści.

– Tomek! tobie z oczów coś złego patrzy – szepnęła, dotykając jego ramienia.

– A coby, jak nie bieda? bo to babka nie wiedzą?...

– Słyszałam coś, ale ludzie różnie gadają, że nie wiadomo, kiej wiara, a kiej para.

– Dymiszę mi dali – szepnął chłop smutnie.

– Bez co?

I w głosie jej zadźwięczało ogromne współczucie.

– Bez co?... bo trzeba było dawać dozorczy: to gąski pod jesień, to masła na zapusty, prosiaka i jajków na Wielkanoc, to kuraka na Świątki – a ja nie nosiłem, jak drugie: skąd wziąłbym? Dzieciom nie było co dać jeść – kobieta mi się z biedy zmarnowała, krowa padła też nie przez dobrość, kartofle, wiecie, jakie były łoni... mniej wykopałem, niż wsadziłem. Darłem się prawie, i ani żonie, ani niczemu nie poradziłem; harowałem na służbie i w domu, i w dzień i w nocy, a biedy nie zmogłem. Dozorca ciągle pomstował na mnie – com mu miał dać? pod żebro może, bo sam z dziećmi nie mieliśmy co na ząb położyć. Pędził mnie i pilnował przez złość coraz barzej. Pisał do naczelnika laporta, że jestem hardy, że lenciaj, że na służbie śpię, że plantu nie obchodzę – potem powiedział, że żelazo ukradłem z magazenu, że...

– Tomek, wzięłeś? powiedz mi prawdę, już ci wszystko jedno, co?

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.